

Jak długo przetrwa tunezyjska demokracja?

Niedzielne wybory prezydenckie, w których wygrał niezależny, konserwatywny specjalista od prawa konstytucyjnego Kais Saied, odbyły się w tydzień po wyborach parlamentarnych. Jednak duża liczba kandydatów w jednych i drugich wyborach nie przełożyła się na sprawne działanie rządu.

Prezydent Tunezji ma władzę ograniczoną do spraw zewnętrznych: polityki zagranicznej i spraw bezpieczeństwa kraju. Tym niemniej kandydaci, łącznie ze zwycięzcą wyborów, prezentowali swoje stanowiska głównie w sprawach krajowych. Kais Saied, który prowadził minimalistyczną kampanię wyborczą bez reklam, rozmawiając z mieszkańcami i odbywając wiece, zdobył w drugiej turze poparcie trzech czwartych wyborców, którzy uznali go za uczciwego i niezależnego, a przy tym wystarczająco konserwatywnego. Saied jest zaprzeczeniem charyzmatycznego polityka, mówi monotonnie, w dodatku klasycznym arabskim, a nie dialektem tunezyjskim, nie okazuje emocji. Wywołuje natomiast emocje tłumów swoją retoryką.

Nowy prezydent jest przeciwny zbliżeniu z Izraelem i wrogo nastawiony do Europy, która według niego wykorzystuje Tunezję i miesza się w jej wewnętrzne sprawy, ale jego główne zainteresowanie to radykalne zmiany w systemie politycznym, które chciałby wprowadzić; wymagałoby to zmian w konstytucji, której jest współtwórcą. Saied uważa, że wyborcy mają kontrolować wybieranych, więc powinni najpierw wybierać rady lokalne, które wybierałyby swoich regionalnych przedstawicieli, a dopiero ci wybieraliby parlament ogólnokrajowy. Wprawdzie nie ma szans na wprowadzenie tego rozwiązania, ale postulat „oddania władzy ludziom” na pewno się podobał. Podobały się też konserwatywne poglądy nowego prezydenta: utrzymanie kary śmierci, karanie par homoseksualnych za publicznie okazywane relacje, utrzymanie nierówności

dziedziczenia kobiet i mężczyzn. Saied jest raczej tradycjonalistą niż islamistą, jego żona jest sędzią i chodzi bez chusty, on sam wprawdzie miał poparcie partii islamistycznej, ale o nie nie zabiegał i nie wspominał o nim w swojej kampanii. Teraz będzie musiał współpracować z rządem, w którym prawie na pewno znajdą się zwolennicy świeckiego państwa i równości kobiet i mężczyzn.

Tunezja jest w tej chwili jednym z dwóch (oprócz Iraku) demokratycznych państw arabskich i jedynym, który po Arabskiej Wiośnie 2011 roku nie wrócił do dyktatury. Nawet jeśli panująca tam demokracja jest niedoskonała, to i tak przyglądają jej się z ogromnym zaciekawieniem inne kraje Bliskiego Wschodu i Północnej Afryki. W wyborach 6 października o 217 miejsc w parlamencie ubiegało się ponad 22 tysiące (!) kandydatów z kilkudziesięciu partii. W wyborach prezydenckich, których druga tura odbyła się w tym samym dniu, co nasze wybory do Sejmu, startowało 26 kandydatów. Zarówno kandydaci na prezydenta, jak i na parlamentarzystów prezentowali bardzo szerokie spektrum poglądów: od fundamentalistycznego islamu do zdecydowanego, lewicowego sekularyzmu.

Przed wyborami prezydenckimi kandydaci odbyli historyczną, pierwszą w krajach arabskich debatę telewizyjną (transmitowaną w krajach całego regionu), a raczej trzy debaty w kolejnych dniach. Debaty były wprawdzie dosyć nudne – głównie składały się z 30-sekundowych odpowiedzi na pytania prowadzących dziennikarzy, ale i tak były szokiem, bo kandydaci zabiegali o głosy wyborców, co dotychczas uważali za uwłaczające ich godności. Inaczej mówiąc, kandydaci zaprezentowali się jako osoby, które wyborcy wynajmują do prowadzenia spraw państwowych, a nie jako przywódcy zesłani przez niebiosy, żeby kierowali małuczkami.

Niestety, wybory parlamentarne nie dadzą Tunezji sprawnego rządu. Żadna partia nie uzyskała większości 108 mandatów, pozwalających na samodzielne rządzenie. Najwięcej głosów, ale

niecałe 20 procent, zdobyła umiarkowana islamistyczna partia Ennahda, która była częścią dotychczasowej koalicji rządowej. Uzyskała tylko 52 miejsca w parlamencie, o 17 mniej niż miała dotychczas, przypuszczalnie dlatego, że była częścią dotychczasowej koalicji rządowej. Drugie miejsce i 38 mandatów zdobyła nowa partia magnata medialnego i kandydata na prezydenta Nabilą Karouiego, ale obie partie zapowiedziały, że nie będą ze sobą współpracować.

Jeśli chodzi o poglądy reprezentowane w parlamencie, to ich różnorodność wystawia dobre świadectwo tunezyjskiej demokracji. Oprócz islamistów znajdziemy tam kilka partii świeckich, partie lewicowe, liberalne i odwołujące się do okresu dyktatury. Tyle, że rozdrobnienie partii, ambicje ich przywódców i animozje między nimi skutecznie mogą uniemożliwić powstanie jakiegokolwiek stabilnego i silnego rządu. Dla zdobycia parlamentarnej większości potrzebna będzie koalicja co najmniej pięciu lub sześciu partii, co jest oczywiście możliwe, ale wróży raczej słabość i możliwość upadku rządu.

Parlament tunezyjski, z powodu proporcjonalnej ordynacji wyborczej i braku progu procentowego, jest koktajlem 20 partii, z których tylko 7 wprowadziło do niego więcej niż 10 posłów. Ogromna większość partii i posłów jest w parlamencie po raz pierwszy – z tych siedmiu największych partii po poprzednich wyborach trzech nie było w nim w ogóle, a oprócz Ennahdy trzy pozostałe miały nie po kilkunastu, lecz po dwóch lub trzech posłów. Wymiana prawie całego składu parlamentu pokazuje, jak bardzo Tunezyjczycy byli rozczarowani i zniechęceni, nie tylko rządzącymi partiami, ale w ogóle całą klasą polityczną. Dużo niższa niż w poprzednich wyborach frekwencja wyborcza, wynosząca około 40 procent zarówno w wyborach parlamentarnych, jak i prezydenckich, też świadczy o zniechęceniu wyborców i braku wiary, że wybory poprawią ich sytuację.

Głównym problemem Tunezji jest bowiem sytuacja gospodarcza. Kraj wprawdzie rozwija się w tempie 1-3 procenta rocznie, ale

znacznie wolniej niż w okresie dyktatury, kiedy i tak panowało około 18-procentowe bezrobocie. Dziś wprawdzie wynosi ono 16 procent, ale w niektórych rejonach kraju i wśród młodych sięga nawet 40 procent. A ponieważ liczba ludności szybko rośnie – liczącemu obecnie 11 mln ludzi krajowi przybywa rocznie ponad 100 tysięcy nowych obywateli – od rewolucji nie ma żadnej odczuwalnej poprawy poziomu życia.

Emigrować do Europy próbują nieliczni Tunezyjczycy, rocznie zaledwie 2-3 tysiące osób składa wnioski azylowe. Wiadomo, że szanse na azyl w Unii są znikome, bo im lepiej funkcjonuje ich demokracja, tym mniejsze prawdopodobieństwo uzyskania azylu. Część młodych radykalizuje się: po stronie Państwa Islamskiego walczyło około 4 tysiące obywateli Tunezji, jedna z dwóch największych grup narodowych w ISIS, a w stosunku do liczby ludności zdecydowanie największa. Z Tunezji pochodził też sympatyk Państwa Islamskiego, który w 2016 roku wjechał ciężarówką w tłum na bożonarodzeniowym jarmarku w Berlinie.

Rewolucję 2011 roku w Tunezji wywołał nie tylko brak wolności w trwającej od 23 lat dyktaturze Abdina ben Alego. Główną przyczyną była kiepska sytuacja materialna, bezrobocie wynoszące średnio 18 procent, a w niektórych regionach i wśród młodych sięgające nawet 50 procent, oraz brak perspektyw. Pokojowe obalenie dyktatury w styczniu 2011 roku wywołało euforię radości, wybory parlamentarne w 2011 i 2014 dawały ludziom nadzieję na zmianę sytuacji gospodarczej. Jeśli teraz, po raz trzeci po wyborach, sytuacja gospodarcza się nie poprawi, może dojść do radykalizacji nastrojów („islam jest rozwiązaniem”) i konfliktów między różnymi orientacjami politycznymi i w konsekwencji do upadku demokracji albo władzy państwowej. To byłby cios nie tylko dla Tunezji, ale dla tych ludzi i ugrupowań w innych krajach arabskich, dla których jest ona przykładem na to, że można jakoś pogodzić społeczeństwo muzułmańskie i państwo demokratyczne.

Unia Europejska wspomaga rozmaite programy inwestycyjne i organizacje pozarządowe sporymi sumami, przeznaczając na ten

cel kilkaset milionów euro rocznie. Są to jednak pieniądze, w stosunku do potrzeb tego kraju, niewielkie. Aby rynek pracy mógł wchłonąć wchodzących w dorosłe życie młodych ludzi, Tunezja powinna rozwijać się dwa albo i trzy razy szybciej niż obecnie, do czego oprócz ograniczenia korupcji i ułatwień dla biznesu potrzebne są pieniądze. Powinny one pochodzić z Unii, byłoby to w jej własnym, dobrze pojętym interesie.

Tunezja jest położona na kontynencie afrykańskim znacznie bliżej Europy niż Libia. W linii prostej dzieli ją od Sycylii około 160 km, parę godzin rejsu szybką motorówką. Gdyby Tunezja stała się krajem opanowanym przez wrogi Europie reżim islamistyczny, albo gdyby załamała się w niej władza państwowa tak jak w Libii, byłaby idealnym punktem startowym dla imigrantów płynących z Afryki do Europy. To, że dzisiaj tak nie jest, zawdzięczamy sprawności działania państwa tunezyjskiego, ale nie możemy liczyć, że tak będzie zawsze. Prognozy dla Tunezji nie wyglądają dobrze.

Grzegorz Lindenberg